

# Wolność słowa i technika

5 lutego 2015

Nie można wykluczyć, że wynalazek wolnego słowa jest znacznie starszy od koła, ale korzystano z niego pokątnie i częściej anonimowo niż publicznie.

Podniesienie wolnego słowa do zasady ustrojowej przypisujemy Grekom. „W naszym życiu państwowym kierujemy się zasadą wolności”, mówił Perykles w swojej słynnej mowie zapisanej przez Tukidydesa. Oczywiście nie jesteśmy całkowicie pewni, czy tę słynną mowę Tukidydes zapisał, czy napisał, pewni jesteśmy jednak, że podniesienie wolności, również wolności słowa, do zasady ustrojowej zawdzięczamy Atenom i podejmowaliśmy w Europie próby powrotu do tej zasady w czasach Renesansu, Reformacji, Oświecenia i demokracji parlamentarnej, znajdując, że wolność słowa jest dobrodziejstwem, z którego należy korzystać z umiarem, gdyż grozi ptasim radiem lub, jak to od stuleci mówią Szwedzi, „polskim sejmem”.

W czasach Renesansu, odkąd wynalazek Gutenberga umożliwił obrzucanie się wolnym słowem bez podnoszenia przyłbicy, ideałem był pamflet in quarto. Osiem stron tekstu (nie mniej i nie więcej), co można było wydrukować dwustronnie na jednym arkuszu papieru składanego na czworo i rozcinanego od góry pugińalem. Z ekonomicznego punktu widzenia był to wówczas ideał, pozwalał na maksymalną oszczędność kosztownego papieru i docieranie z wolnym słowem nawet na jarmarki. Te pamflety były zazwyczaj anonimowe i zawierały czasem treści, za które autor mógł głowę stracić. Tezy Lutra pozostałyby nic nie znaczącym epizodem, gdyby nie prasy drukarskie i duży popyt na obrazoburczy i niedrogi pamflet, który rozchodził się jak ciepłe bułeczki.

Korzystających z możliwości anonimowego druku wolnego słowa było wielu, jako że zarówno szlachta, jak i mieszczaństwo coraz lepiej rozpoznawali kształt liter, skutecznie przełamując

wcześniejszy monopol duchownych na słowo pisane. Od SMS i Twittera klientów pierwszych drukarzy dzieliło jeszcze ponad pół milenium, więc formuła ośmiu stron druku była z wielu względów ideałem.

Kontrreformatorzy zamykali drukarnie i ścigali drukarzy, kładąc kres rozbuchanej wolności słowa i innowacjom technicznym, które jej sprzyjały. Powrót do punktu wyjścia nie był jednak możliwy, a w podzielonej Europie to i owo dawało się wydrukować u sąsiadów i przeschmuglować do kraju.

Wolne słowo prześladowane było wszędzie, ale nie wszędzie tak samo. Protestanci oczekiwali powszechnego czytania Biblii, a tym samym powszechniej umiejętności czytania i pisania. Siłą rzeczy mieli więcej drukarni i dużo więcej wolnego słowa, które bocznymi furtkami w cenzurze wkładało się do przestrzeni publicznej. Było tu również ciekawe sprzężenie zwrotne – im więcej słowa drukowanego krążyło w społeczeństwie, tym bardziej przyspieszała innowacyjność. Osobiście obserwowałem to na przykładzie rolniczych kalendarzy pojawiających się obok książeczek do nabożeństwa.

Wolne słowo wolało pozostać anonimowe nie tylko ze względu na państwową i kościelną cenzurę. Jak pamiętamy „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego” pierwotnie nie nosiły nazwiska jakiegoś mieszczanina o nazwisku Stanisław Staszic, bo szlachta nie zniżałaby się do czytania rozważań kogoś tak nisko urodzonego. Wolne słowo musiało się sposobem wkręcić w łaski czytelników.

Ani „Uwagi” ani „Przestrogi” Polski nie uchroniły i zapewne na tym etapie uchronić nie mogły; kiedy były pisane, Szwedzi od lat o bezładnej paplaninie mówili „polski sejm”, uważając że wolność słowa wymaga również pewnego porządku, w szczególności tam, gdzie wolność słowa jest również zasadą ustrojową.

Wraz z utratą suwerenności kwestia sposobu korzystania z wolnego słowa stała się w pewnym sensie bezprzedmiotowa. Nocne Polaków rozmowy nie wymagały porządku, punktów do dyskusji,

ani protokołów. Troską było szerzenie idei, a więc dostęp do drukarni, które w zaborze rosyjskim pilnowane były starannie, ale granice między zaborami nie były murami i dawało się drukować, czy to w innych zaborach, czy w innych krajach, jednak ze względów bezpieczeństwa wolne słowo pozostawało anonimowe lub ukryte za znanym tylko przyjaciółom pseudonimem.

Parlamentarna demokracja miała być szkołą parlamentarnych sporów. Wolni obywatele mieli wolność słowa, ale ze sporów miał się wyłaniać porządek, co wymagało unikania „polskiego sejmu” i tłumienia tumultu w zarodku. W parlamentach wolne słowo wpływało do laski marszałka, ten udzielał głosu i głos odbierał, gdy spory zmieniały się w warcholstwo lub jałowe pieprzenie kotka przy pomocy młotka. Nowymi Atenami był Londyn, ale nie należało tego mówić głośno w Paryżu, bo w pysk mógł człowiek oberwać.

Wraz ze stopniowym zanikaniem struktury stanowej idea parlamentarnych sporów przenikała do społeczeństwa. Przenikała z oporami, bo chociaż od wieków szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, ale co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie. Chłop zaś po staremu miał czapkę w rękach miętosić i do kolan się panu kłaniać a nie mędrkować o wolności słowa. Chłopskie wolne słowo było pokątne i nieparlamentarne. Buraki uczyły się parlamentarnych dyskusji budując zręby spółdzielczości z pomocą rzadkich jak szlachetny kruszec Lemańskich, bo masy inteligenckie darzyły demokrację miłością platoniczną, zakorzenioną w tradycji „polskiego sejmu”. Szlachta nasza, tracąc majątki, przedzierała się w inteligencję obiecując chłopom, że robotnikom będzie lepiej.

Miało być o technice i o wolnym słowie. Na rubieżu cywilizacji parlamentarnej dotarł komunizm, a komunizm głosił wolność nie znosząc sprzeciwu. Nazbyt wolne słowo pociągało za sobą nakaz milczenia, karę więzienia, obozu pracy lub rozstrzelania.

Wcześniej już pożary wolnego słowa gaszono płomieniami stosów, teraz sprawę kończył strzał w potylicę, ale z tortur nie

zrezygnowano, chociaż zmieniły się techniki. Poeta Osip Mandelsztam, czytając napisaną zapewne przez filozofa i podpisaną przez Stalina pochwałę wolności, dziwił się w liście przeszmuglowanym z łagru do żony: „nie wiedziałem, że dostaliśmy się w łapy humanistów”. Wielu dowiedziało się o tym zbyt późno, by cofnąć swoje poparcie. W radzieckiej strefie wpływów wolne słowo obudziło się z letargu po śmierci Stalina, w czasach odwilży. Jak pisał pisarz, „szuflady były puste”. Nie było to cała prawda, ale zapiski z łagrów musiały jeszcze pewien czas poczekać.

Jak się wydaje, najmłodsze pokolenie rzadko dziś wraca do lektury takich pisarzy jak Pasternak, Sołżenicyn i inni, większości te nazwiska nic już nie mówią. Dla nas w tamtych czasach źródłem wolnego słowa było radio. Wolne słowo było zagłuszane, ale upór pozwalał wyłapać to i owo, dać poczucie kontaktu z wolnym słowem i dzielić się nim z tymi, których darzyliśmy zaufaniem.

Po odwilży wróciły przymrozki, w Związku Radzieckim pojawiło się pokolenie młodszych pisarzy, gotowych szmuglować swoje książki na Zachód, by wracały do kraju drogą radiową. Wyłapywano ich sprawnie i wysyłano na zsyłkę, czasem deportując lub wymieniając na złapanych radzieckich agentów. U nas było inaczej, nieco bardziej swobodnie, nie tylko radio było źródłem wolnego słowa, ale docierały czasem wydawane na Zachodzie książki, również oficjalna wolność słowa była inaczej limitowana dla ludu, inaczej dla wybranych. W warszawskich kabaretach można było usłyszeć żarty, za które w Szczecinie można było słono zapłacić. Błazeńska czapka od wieków pozwalała na nieco więcej wolności słowa (pod warunkiem, że błazen harcował pod boki względnie oświeconego władcy, gotowego powstrzymać nie znających się na żartach strażników granic wolnego słowa).

Ciekawe, Orwell pisząc „Rok 1984” przesunął zegar tylko o 36 lat. Zabieg podobny do znanego w księgowości mechanizmu tak zwanego czeskiego błędu (czort wie skąd ta nazwa),

przestawiając cyfry w 1948 napisał 1984. Oglądając pierwsze programy telewizyjne, przewidywał że rozwój techniki uszczelni granice wolnego słowa. Stało się dokładnie odwrotnie. Najzabawniejsze, że rewolucja zaczęła się niewinnie, od konieczności przyzwolenia na masowy dostęp do rzeczy tak prymitywnej jak maszyna do pisania. Musiały być w biurach i urzędach, trzeba było przyzwolić na ich dostępność dla osób prywatnych. Na maszynie do pisania można było sporządzić tekst w trzech, a nawet w czterech kopiach.

Słowo „samizdat” (wydanie własne), to teksty powielane i rozprowadzane bez pozwolenia. W końcu lat 60. ubiegłego wieku opowiadano w Moskwie dowcip o sekretarce, którą koleżanka chce zaprosić na imieniny, ale ona odmawia i tłumaczy, że przepisuje „Cichy Don”, bo to obowiązkowa lektura w szkole, a córka czyta tylko książki w maszynopisie. (Dziś trzeba wyjaśniać, że „Cichy Don” to powieść o objętości wszystkich tomów Harry Pottera, bo ani tytuł, ani autor, który prawdopodobnie nie był autorem tylko pospolitym złodziejem manuskryptu, nic nikomu z młodszej generacji nie mówią). Tak czy inaczej, powszechność maszyn do pisania, cofnęła tę część świata do czasów pierwszych drukarni i dla wolnego słowa był to pewien postęp. Kolejną rewolucją był magnetofon i kopiarka. Magnetofon okazał się ważniejszy, bo śpiewane wolne słowo było płomienne jak pamflet in quarto. Magnetofon wybił cenzurze zęby, chociaż strażnicy wolnego słowa nie spodziewali się, że jest groźniejszy od książek i filozoficznych esejów. Śpiewane wolne słowo docierało do najbardziej niespodziewanych miejsc, budziło bunt, nie ucząc jednak parlamentarnej dyskusji, docierania do wniosków w warunkach swobody słowa. O swobodzie słowa nie wiedzieliśmy nic, zachłystywaliśmy się wolnym słowem pod nosami strażników granic wolnego słowa, popijając wódkę i marząc o państwie, w którym wolność będzie zasadą ustrojową.

Samizdat przerodził się w wolną podziemną prasę. Mieszkałem już na Zachodzie i byłem szmuglerem, wysyłałem całe transporty książek, wysyłaliśmy również powielacze. Zbuntowani pisarze

pisali książki, które drukowane były w podziemnych drukarniach, w podziemiu drukowano również książki przeschmuglowane z Zachodu. Cenzura okazała się bezsilna wobec techniki na długo przed pojawieniem się Internetu. Czy rzeczywiście? Rzeczywiście, chociaż zasięg wolnego słowa był dość skromny, a przekazywane szeptem wolne słowo nie uczyło sztuki korzystania z wolności. Wolne słowo podsycalo bunt, budziło pragnienie wolności, nie informowało, że wolność może być trudna, że wymaga opanowania sztuki tworzenia ładu opartego na swobodnym słowie.

Komunizm runął i nad Wisłą spierano się zażarcie, czy obaliła go „Solidarność”, czy Papież (przegrana wojna w Afganistanie, gwiazdne wojny, Reagan, Gorbaczow, to były ciekawostki, których nad Wisłą nie traktowano poważnie). Nie można wykluczyć, że nadmierna duma z powodu sukcesu naszego wolnego słowa mogła również utrudniać pojawienie się świadomości, że swobody słowa trzeba się uczyć. Polski Sejm w wolnej Polsce dziwnie przypominał „polski sejm” z szwedzkiego idiomu. Było gorzej, nikt nie odważył się głośno powiedzieć, że nie znamy sztuki posługiwania się wolnym słowem.

My, którzy wcześniej przekazywaliśmy wolne słowo drogą radiową, przestaliśmy szczęśliwie być potrzebni, chociaż niektórzy z nas sądzili, że mogliby jeszcze trochę pomóc w uczeniu sztuki posługiwania się wolnym słowem w wolnym kraju. Czasem przypominam zabawną opowieść jak młody człowiek, a nawet podwładny, z szatańskim śmiechem zbył moją prośbę o analizę partyjnych programów, informując mnie z wyżyn weterana bojów o wolne słowo, że przecież w Polsce tych partyjnych programów nikt nie czyta i czytać nie zamierza.

Uczciwie mówiąc, nadzieja była nie w polskim Sejmie, bo tam był „polski sejm”, i nie w szkole, bo tam nie miał kto uczyć sztuki posługiwania się wolnym słowem, nie w mediach, bo media były teraz szkołą monologów i nie w Kościele, bo ten o ładzie opartym na wolnym słowie wiedzieć nic nie mógł z natury rzeczy.

Transformacja na początek pospiesznie likwidowała spółdzielczość, bo awangarda pluratelarizmu nie miała pojęcia, że to spółdzielczość była szkołą wolności słowa i parlamentarnych sporów u samych podstaw. Prywatna przedsiębiorczość nie była tym samym, ale mogła powoli zwiększać obszar wolnego słowa jako źródła ładu. „Polski sejm” w przedsiębiorstwie prowadzi do porażki. Wybór jest między tyranią szefów, a uporządkowaną wolnością słowa, ta pierwsza hamuje innowacyjność, ta druga wyzwala potencjał intelektualny zatrudnionych, więc teoretycznie, niewidzialna ręka rynku powinna wskazywać, że (przynajmniej w gospodarce) wolne słowo czyni cuda. Dowody potwierdzające tę tezę znajdujemy w innych krajach. Nie widać ich w Polsce, nie mogę wykluczyć, że mam zbyt mało informacji.

Ćwierć wieku wolności nie zmieniło jakości polskich zebrań, ani jakości obrad polskiego Sejmu, jedno i drugie sprawiają wrażenie „polskiego sejmu”.

Tymczasem wolne słowo zdobyło nowe medium – Internet. Samizdat wymagał trudu, łączył się z ryzykiem, nikt nie chciał ryzykować z błahych powodów. Inaczej z samoklikiem, samoklik pozwala wrócić do czasów przed Gutenbergiem, do wolnego słowa na jarmarku i w knajpie. Samoklik uczynił „polski sejm” zjawiskiem światowym.

Zanim wyjaśnię opowiem historię rodzinną – w końcu lat 20. ubiegłego wieku brat mojej matki, Zbigniew Jasiński, zbudował kryształkowe radio, kiedy wszystko działało włożył urządzenie do porcelanowej wazy na zupe i zaprosił domowników na pokaz cudu nowej techniki. Z wazy popłynęła muzyka, która rozmarzyła mojego dziadka – orzekł, że teraz kultura i nauka trafią wreszcie pod strzechy. W kilka lat później zmienił zdanie słuchając przez radio przemówienia Hitlera. Radio dostarczało pod strzechy inne słowa i inną muzykę niż mu się marzyło kiedy po raz pierwszy patrzył na wynalazek dający nowe możliwości przekazywania dźwięków.

Internet i samoklik, kolejna rewolucja otwierająca bramy dla wolnego słowa. Dopiero Internet pokazuje naprawdę jak bardzo chybiony był pesymizm Orwella. Wielki Brat zmalał do rozmiarów bezsilnego karła, bo już nie tylko książki, ale same drukarnie trafiły pod strzechy. Publikuje kto chce, zaś Wielki Brat pospiesznie szuka możliwości wyłapania przynajmniej tych, którzy nawołują do mordów. Dyktatorzy próbują różnych sztuczek, domyślając się, że żadne tamy nie będą skuteczne i tak czy inaczej wolne słowo będzie grasować w przestrzeni publicznej. Jeśli dodamy do tego cyfrowy aparat fotograficzny i telefon komórkowy, można poniekąd ogłosić zwycięstwo. Czyje? Aten, Peryklesa czy „polskiego sejmu”?

Pesymiści i optymiści zbierają się osobno, a z ich narzekań i festynów radości wynika mało. Internet otworzył świat i w miasteczku, które do niedawna było zabita dechami dziurą, mogę słuchać wykładów olimpijczyków nauki, korzystać z księżnicy mającej ponad dwa miliony książek, rozmawiać z przyjaciółmi w Chicago, w Indiach, czy w Australii, jakby byli w pokoju obok. Na stacji benzynowej sprzedawca przegląda gazetę na tablecie, a dzieciaki w gimnazjum częstują się na smartfonach zakazanymi filmikami (nie tylko o seksie). Nauczyciel w klasie pokazuje na dużym ekranie tajemnice mikro i makrokosmosu.

Internet otworzył świat, przekreślił granice, ale (poprawcie mnie jeśli jestem w błędzie), wygasił potrzebę uczenia się sztuki posługiwania się wolnym słowem tak, by tworzyło parlamentarny porządek i mogło prowadzić do uporządkowanych dyskusji.

Samoklik w Internecie jest jak liberum veto, byle dureń może zerwać obrady i zamienić ważne wirtualne spotkanie w symfonię bełkotu. Działy komentarzy są zmieniają się w forum dla warcholstwa, a nawet gorzej dla propagowania treści jadowicie sprzecznych z tekstami, pod którymi te komentarze są umieszczane. Często sprawia to wrażenie połączenia wodociągu z systemem ścieków. Im większe forum, im ciekawsze nazwisko, im ważniejszy temat dyskusji, tym silniejszy magnes dla piewców

nienawiści i miłośników paplania od rzeczy.

W redakcjach drukowanych gazet 99 procent listów do redakcji lądowało w koszu na śmieci. Teraz samoklik pozwala obwieścić światu to wszystko, co niedawno kończyło karierę na drzwiach toalety.

Internet jest królestwem wolnego słowa, ale nie jest miejscem parlamentarnych sporów, jeśli jest moderator, to raczej jako przyzwoitka niż prowadzący obrady. Ta sztuka nie rozkwitła i nie dlatego, że nowa technika przekazywania słowa na to nie pozwala. „Polski sejm” nie wywołuje buntu, pomysł prowadzącego obrady nie przychodzi do głowy. W najbardziej kulturalnym towarzystwie wolne słowo jest zaledwie obecne jak na modlitewnych spotkaniach kwaków – nabożną ciszę przerywa wypowiedź, po której powraca cisza lub ktoś zabiera głos na inny temat. Żadna technika nie otworzy nam drogi do tego, by wolne słowo stało się metodą tworzenia społecznego ładu.

Wnoszę wniosek do łaski o podjęcie obrad nad kwestią stopniowej likwidacji „polskiego sejmu” na obszarach forów, na które mamy wpływy, i nad rozpoczęciem poszukiwań drogi do lokalnych programów małego parlamentaryzmu. Przewidywana odpowiedź zatroskanego erudyty: „Internet jest jak gra półsłówek – sra półgłówek”.

Autorstwo: Andrzej Koraszewski

Źródło: [Listy z naszego sadu](#)